

Artysta nie może stać w miejscu

Magdalena Sasin: Jak narodziła się pana fascynacja jazzem?

Adam Makowicz: Mojej matce bardzo zależało na tym, żebym poznał muzykę i tak jak czytania i pisanie, musiałem się też uczyć grania na pianinie. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że istnieje coś takiego jak jazz. Chodziłem do szkoły muzycznej w Rybniku, prowadzonej przez profesora Szafranka, który skończył słynne konserwatorium berlińskie i swoją szkołę założył jeszcze w latach trzydziestych. Szafranek miał olbrzymi autorytet, wszyscy chcieli posyłać do niego swoje dzieci. Przez parę lat byłem tam uczniem. Aż któregoś razu ktoś przypadkowo puścił przez radiowęzeł nagranie amerykańskiego pianisty jazzowego Arta Tatuma. Powiedziałem sobie: to jest najpiękniejsza muzyka, jaką kiedykolwiek słyszałem, chcę ją grać! No i tu się zaczął problem ze środowiskiem, z moją rodziną.

Na czym polegał?

Propaganda partyjna przedstawiała wtedy jazz jako muzykę, która degeneruje młodych ludzi. Czesiek Gawlik, kierownik domu kultury w Rybniku, organizował nocne jamy jazzowe w kawiarni Bombaj. Piło się porter, paliło papierosy. Do domu wracałem bardzo późno. I co moja biedna mama mogła pomyśleć? Że jej syn zszedł na złą drogę. Ponieważ swojej miłości do jazzu nie mogłem pogodzić z nauką w gimnazjum, nie zdałem do następnej klasy. Wtedy rodzice przenieśli mnie do liceum muzycznego w Katowicach, gdzie wytrzymałem dwa lata. Potem było liceum muzyczne w Krakowie. Ale tam istniał już wtedy klub jazzowy Helikon, gdzie bywał m.in. Krzysztof Komeda. Więc w krakowskiej szkole też długo nie wytrzymałem. Zdawałem sobie sprawę, że wszystko robię inaczej, niż by chcieli rodzice, więc uznałem, że nie mogę od nich brać pieniędzy na utrzymanie. Na jakiś czas stałem się bezdomny. Nie było tak źle, czasem waletowałem w akademiku. Dla trębacza Jurka Porębskiego, który założył klub jazzowy, pisałem jazzowe frazy i uczyłem go harmonii. Najbardziej liczyło się dla mnie to, że obracałem się w tym środowisku. Chciałem słuchać jak najwięcej muzyki. Krzysiu Komeda mnie polubił. Całe noce słuchaliśmy u niego płyt, które przywoził ze Skandynawii. Jednak dopiero gdy wyjechałem do Stanów, na dobre zacząłem uczyć się jazzu. Najważniejsze stało się granie z różnymi muzykami – każde spotkanie było bardzo istotne. Najczęściej grałem w niewielkich klubach, w duecie, w trio i oczywiście solo.

Cały wywiad Magdaleny SASIN można przeczytać w styczniowym numerze „Kalejdoskopu” 1/2026.